

Marek Jaszczyński <1963-1968>

Przedpiekle. 27.11.2007. ...z listu do Macieja Kucharskiego...



Witaj kolego Maćku !

To moje zdjęcie z tegorocznego lata - w tle moi przyjaciele szykują ognisko, a przesyłam Ci to foto dlatego, że chciałbym pokazać, iż mimo życia w mojej samotni tak naprawdę samotny nie jestem, bo mam z kim żyć i mam z kim wspominać, bo mam z kim marzyć i mam wsparcie w realizacji tych marzeń.

Spotykamy się każdego lata, choćby na parę chwil, u mnie, u nich,

czasami w innych różnych dziwnych miejscach i całkiem niespodziewanie.

Nie oczekuj ode mnie, że zaraz wymienię znane Ci z ławy szkolnej imiona i nazwiska, nie, to moi przyjaciele z pozaszkolnych i dzisiejszych czasów. Ale zdziwiłbyś się ich wiedzą o Mojej Woli. W ich szkołach nie było tak, jak w naszej, oni nie mają tak różnorodnych i dziwnych wspomnień o kolegach i nauczycielach, oni nigdy nie myśleli, że może gdzieś istnieć taka szkoła, jak nasza i, że można być tak silnie związanym uczuciowo z okresem nauki i dorastania, oni nigdy nie doświadczyli tak silnej integracji w okresie pomaturalnym. A ja jestem dumny z tego, że byłem wychowankiem i uczniem ludzi, którzy nauczyli mnie umiejętności podtrzymywania więzi i hołubienia wspomnień, którzy nauczyli mnie, co to wspólnota, koleżeństwo, przyjaźń, miłość, którzy wpoili mi zasady prawidłowego współżycia rodzinnego, zawodowego, społecznego.

I choć w prawdziwym życiu nie zawsze udawało mi się sprostać tym naukom to zawsze szczerze wierzyłem w wartości, które mi wpojono.

Pozostały mi też zainteresowania humanistyczne, bardzo dużo czytam i uwielbiam wracać do ulubionych lektur, nie tylko szkolnych, interesuje mnie teatr, balet, opera - niekoniecznie u źródła, przy dzisiejszych możliwościach medialnych, telewizji satelitarnej i internecie, trochę param się niekonwencjonalną poezją, trochę maluję, fotografuję, staram się obcować ze sztuką i choć mieszkam na przysłowiowym zadupiu to bywam na wystawach, wernisażach, w muzeach. Moja żona gra, śpiewa, maluje, pisze wiersze - jest repatriantką z Kazachstanu, jej stryj Alfons Kułakowski jest uznanym malarzem mistrzem kolorystą, moja siostra prowadzi duży antykwariat-galerię gdzie skupia wiele działań na rzecz sztuki dawnej i współczesnej.

Do tego dochodzi bezpośredni codzienny kontakt z naturą - otaczającą mnie przyrodą i zwierzętami, dzikimi i domowymi. Kocham konie i część swego życia poświęcam właśnie im, co daje mi wiele radości i satysfakcji, a przy tym pozwala wypełnić czas i utrzymać jako taką formę fizyczną.

Moje krótkie opracowanie o pomaturalnych kontaktach z kolegami przesyłam Ci w załączeniu, fotki z tamtych lat podrasowane nieco na komputerze

niestety nie nadają się do przedruku , ale są dla Ciebie "ku pamięci".

I jeszcze jedno pytanie. Czy w mojawolskich czasach nauczyliśmy się przyjaźnić? Odpowiedź brzmi TAK. Ja w to wierzę i ja to wiem. I to jest najważniejsze w tym, co nas tam spotkało, tym należy się cieszyć, chwalić, przekazywać wiedzę i nabyte doświadczenia w tej kwestii naszym dzieciom i wnukom, to jest teraz nasze zadanie na starość, piszmy, więc, o tym i dzielmy się z innymi, publikujmy i głośmy wszem i wobec najbardziej mi zapadłe w serce słowa profesora "Stawki" - "...pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem Ci kim jesteś..." i "...na wartość człowieka składa się wartość jego przyjaciół..."

Dlatego, jeżeli zechcesz opublikować i ten list, to w hołdzie moim nauczycielom, którzy "przyjaźnić się" mnie nauczyli chciałbym wymienić poniżej listę moich przyjaciół - tych wszystkich wspaniałych ludzi, którzy pojawili się w moim życiu i których mogłem nazwać i nazywać tym imieniem, na których mogłem i mogę zawsze polegać - i choć niektórzy z nich odeszli lub nasze drogi z czasem się rozminęły to zawsze w moim sercu i wspomnieniach będą nosić to dumne imię - PRZYJACIEL.

- moja Mama Daniela Jaszczyńska,

- moja druga Mama , profesor Elżbieta Staw,

- Janusz Zysnarski,

- Joanna Bielecka ,

- Zbigniew Mokwa,

Wspomnienia Marka Jaszczyńskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 19 listopada 2010 15:04 - Poprawiony niedziela, 26 czerwca 2011 00:24

- **Halina** **Sala**,

- **Zbigniew** **Konczalski**,

- **Bogdan** **Plewczyński**,

- **Edward** **Hein**,

- **Bronisław** **Kałużny**,

- **Katarzyna** **Taran**,

- **Agnieszka** **Gałązka**,

- **Michał** **Kaczmarek**,

- **Lalmi** **Lalmi**,

- **moja** **ukochana** **żona** **Wanduszka**.

Niestety, nie mogę tu wymienić wszystkich znajomych, z którymi łączy mnie więź koleżeńska oraz przyjaznych mi członków rodziny, bo lista taka byłaby

wielokrotnie dłuższa - prawdziwie jednak ich cenię i zawsze serdecznie traktuję lub wspominam.

to by było na tyle.

Załączam serdeczne pozdrowienia

Marek Jaszczyński.

PS. Obejrzałem Twoją stronę internetową i muszę przyznać, że obrazy mile mnie zaskoczyły - gratuluję umiejętności i pomysłów.

Ostatnio byłem w Olsztynie na wystawie Dudy Gracza - tematyczne, sielsko - anielskie scenki do muzyki Fryderyka Chopina. Ponad dwieście prac w większości bardzo dużych rozmiarów przesyconych rozbłyskami słońca lub zawoalowanych mgiełką fantasy, oprawionych w bogate ramy. To wystawa wędrująca, więc, jeśli trafi w twoje okolice to polecam - obrazy niechybnie w twoim guście, więc, powinny Ci się spodobać. Mnie niestety z całości podobał się tylko jeden, no cóż, każdy ma prawo do subiektywnej oceny.

Wspomnienia Marka Jaszczyńskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 19 listopada 2010 15:04 - Poprawiony niedziela, 26 czerwca 2011 00:24



.....leśnikiem być chciałem.....

Zamiast wstępu; apoteoza - zachwycenie się, ubóstwienie, uwielbienie, ukochanie, czczenie ponad zwykłą miarę, ukazywanie w świetności i chwale jakiegoś wydarzenia, postaci lub idei.....

Słotny listopad 2007, pierwszy śnieg, wieczór, świeca, kieliszek wina, porozkładane mapy i stare fotografie, konie chrapią w stajni, psy śpią w pozycji czuwania, w piecu strzelają wesoło świerkowe szczapy, wszem i wokół nostalgia - wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia.....

Czterdzieści lat temu myślałem o studniówce, o kończącej ostatni rok szkolny maturze, o przyszłej pracy, studiach, porównywałem realia z marzeniami.

Kim wtedy byłem i kim jestem dzisiaj ?...co nam zostało z tych lat ?....

Zycie to twarde stąpanie po ścieżkach jakie wyznaczył nam los, to ciągle podejmowanie narzuconych sobie wyzwań i dokonywanie wyborów, to umiejętne, lub nie, łączenie marzeń z rzeczywistością i konsekwentne dążenie do obranych celów.

To motto oraz świadectwo dojrzałości z wpisem technik technolog drewna ze specjalnością leśnictwo

otrzymałem na drogę życia z Technikum Leśnego w Mojej Woli, na drogę, która prowadzi mnie do dzisiaj - jakże jednak odmiennego od ówczesnych oczekiwań.

A jednak z pełną determinacją muszę stwierdzić, że gdyby nie te szkolne lata, gdyby nie ci nauczyciele, wychowawcy, koledzy i gdyby nie ta specyficzna mojawolska atmosfera to zapewne nie byłbym tym kim jestem i nie przeżył bym tego, co przeżyłem, nie dawał bym ludziom tego, co dawałem i nie brałbym pełnymi garściami tego, co oni mi dawali.

Zawsze miałem duszę humanisty, zaraz po szkole chciałem nawet studiować filologię, ale punktów brakło.

Zawsze też czułem się leśnikiem i choć dzisiaj nie pracuję w tym zawodzie to pewien jestem, że moje przeszłe i obecne związki z lasem i jego mieszkańcami są bardziej zażyłe i podbudowane miłością niż niejednego leśniczego.

I wreszcie zawsze miałem własne zdanie na każdy temat, bo w przeciwieństwie do wielu ludzi, jestem homo sapiens, czyli człowiek myślący.

Po szczęśliwych 3-miesięcznych wakacjach nad polskim morzem, spędzonych w towarzystwie brata i szkolnego przyjaciela - Jasia Zysnarskiego - z wyboru, a tudzież z konieczności, podjąłem pracę stażysty, a po pół roku podleśniczego, w N-ctwie Włocławek. Niestety, po ponad roku adoptowania się w środowisku wróciłem, z rodzinnych i zdrowotnych powodów, do miasta Łodzi, z którego pochodzę.

Nastaly czasy przemian zawodowych, studiów, rodziny, innych światopoglądów, nowych zainteresowań, dzieci, pracy, robienia i wydawania pieniędzy. Nastaly czasy ciągłych zmian i przemian - moich i mojego otoczenia.

Jedno jednak pozostało niezmiennie - to mojeego i moje zasady, zasady, które wpojono mi w młodości, a głównie w mojawolskich czasach. To kim byłem i jestem może nie wszystkim przypadło by do gustu, ale mi - pozwala bez strachu i żenady patrzeć w lustro i w oczy ludzi, których na swej drodze życia spotkałem choć, być może, ich opinia o mnie jest inna.

Aby opisać swoje dzieje musiałbym zużyć niejedną ryzę papieru lecz nie one będą przedmiotem niniejszej rozprawki. Dzisiaj chciałbym opisać tych kilka epizodów

ściśle związanych z mojawolską przeszłością, które dotyczą moich kontaktów z nauczycielami i kolegami.

Moim przyjacielem od połowy pierwszej klasy technikum a zaczynałem naukę w Miliczu był Jaśko Zysnarski. Do dzisiaj w moim telefonie i komputerze figuruje jako "Żararaki", a to dlatego, że na początku naszej znajomości uznał mnie za osiłka i opowiedział pewną historię z książki Szklarskiego, czyniąc z siebie jej bohatera. Nie przyszło mu do głowy, że wyższy wtedy od niego o 30 cm kolega, może być pasjonatem przygodowych powieści i innych bardziej lub mniej dorosłych książek. W milickich czasach moja ocena ze sprawowania oscylowała zwykle w okolicach trójki, jego nieco lepiej - więc, w sumie, w tym czasie, tworzyliśmy "dobrą" zgraną parę, ja pełniłem rolę rycerza, on giermka i dopiero po przyjeździe do Mojej Woli nasze wzajemne relacje zmieniły się na kumpli i druhów.

Przyjaźń przyszła nieco później, ale za to mocna i trwała. I nie jest ważne, kto z nas bardziej o nią dbał, ważne jest, że mimo upływu lat jesteśmy w stałym, choć nieco chaotycznym kontakcie i, że w razie potrzeby, możemy na siebie liczyć.

Pamiętam maturę z matmy. Posadzili mnie belfrowie przy stoliku równoległym do katedry i odległym od niej mniej niż pół metra. Przy stoliku po mojej prawej ręce posadzili Jaśka. Przed moim nosem, za katedrą siedział matematyk, profesor Junik. Po odczytaniu zadań maturalnych usiadł za katedrą, wziął kartkę i w parę minut je rozwiązał, machnął mi ręką i lekceważąco się uśmiechnąwszy poszedł na spacer między stolikami. Faktycznie, cztery zadania i ja rozwiązałem w kilka minut nawet nie próbując korzystać z brudnopisu, ale z piątym męczyłem się dobrą godzinę zanim mój umysł

zaskoczył. Dzisiaj nie muszę już ukrywać, że niezbędna ku temu była konsultacja z kolegą, o dziwo, nie z mojej, lecz z równoległej klasy. Jak chyba na całym świecie, tak i nasza, odbyła się w toalecie. Cały ten czas Jaśko sykał o ściągę, a spacerujący tam i siam matematyk, co rusz zaglądał w jego pracę i kiwał głową z politowaniem, zaś ja nie mogłem napisać mu ściągę, bo zapasowe brudnopisy zużyłem do konsultacji, i nie tylko, w kiblu. Wreszcie zdesperowany Jaśko wyciągnął rękę i dopóty ją trzymał, dopóki nie oddałem mu własnej pracy. Nie powiem, przepisywał tak szybko, że długopis dymił, a gdy skończył, obaj, ku zdumieniu wszystkich, w pośpiechu oddaliliśmy się na zasłużone "piwo". Po matmie był tydzień przerwy i wyjechałem do Łodzi. Jakież było moje zdumienie gdy po powrocie okazało się, że ja mam piątkę a Jaśko dwóję, i że musi zdawać egzamin ustny.

Pobiegłem do profesora szukać przyczyn tego stanu rzeczy, a on ze stoickim spokojem, bardzo uprzejmie choć zdecydowanie poinformował mnie, że wprawdzie wyniki końcowe zadań Jaśka były zbieżne z oczekiwanymi, ale niestety, zastosowane do ich uzyskania metody wyraźnie wskazywały na pomoc osób trzecich i robaczków, które wyżyły, co niektóre nawiasy, plusy, minusy, potęgi itp. itp. itd. Profesor Junik, z uwagi na swe opanowanie, stateczność, zorganizowanie, wiedzę był dla nas wspaniałym facetem - autorytetem, ale jednocześnie był człowiekiem o gołębim sercu wymienił mi, więc, kilka zagadnień tematycznych, które każdy, nawet najgłupszy potencjalny maturzysta umieć musi.

I tak zaczęła się moja i Jaśka trzydniowa nauka podstaw nauk matematycznych, dzisiaj nie pamiętam już szczegółów, ale było to pewnie zadanie z wielomianem, badanie funkcji, twierdzenie i wzór Pitagorasa, może obliczanie pola walca. Kawa, prysznic, nauka, kawa, prysznic, nauka i tak do upadłego.

Rankiem, przed egzaminem powtórkowym znów pobiegłem do profesora i powiedziałem; zgodnie z Pana życzeniem on umie to, to, to i to.

I Jaśko zdał, nie wiem jak, ale zdał i tak się na tę matkę zawziął, że na późniejszych studiach leśnych znaczących problemów z nią nie miał.

Nie chciałbym, aby po lekturze tego tekstu ktoś odniósł mylne wrażenie o moim lub profesora udziale w zdaniu przez Jaśka matury. To on sam "dał radę", to on w odpowiedniej chwili potrafił się zmotywować i zdopingować. My byliśmy tylko kompetentnymi i przychylnymi obserwatorami, którzy odpowiednio ukierunkowanym dopingiem zmusili do maksymalnego wysiłku jego szare komórki.

W parę tygodni po maturze spotkaliśmy się w Pobierowie gdzie pod namiotem i w hippisowskiej atmosferze bałaganiliśmy do końca września. To były niezapomniane wakacje.

Niestety, później nasze drogi się rozeszły, choć nie na długo. Nie spotkałem Jaśka na I Zlocie Młodych Leśników w Tucholi w 1969 - te kilka dni spędziłem jednak z innym kolegą z mojej klasy, z Maćkiem Buczyńskim, który wówczas stażował gdzieś w okolicach Lipna. Ale wiosną 1971 widzieliśmy się z Jaśkiem w jego rodzinnym Wrocławiu, niedługo potem w Gaszowicach gdzie odbywał staż. Dwa lata później znów Wrocław i zaproszenie do świadkowania na moim ślubie - niestety, nie przyjechał, choć solennie sobie wzajem te usługi przyrzekliśmy, jeszcze w szkole. Niezaprzeczalną prawdą jest, że dopiero na schodach USC poprosiłem mojego brata, aby go zastąpił. W rok po ślubie kupiliśmy z żoną dwa ruskie Urale i spakowawszy plecak pojechaliśmy na urlop. W drugim dniu podróży, w godzinach południowych wyjechaliśmy ścieżką od kościoła na plac apelowy przed fronton mojawolskiego zamku. Ja włosy do ramion, broda na jaskiniowca, żonka w szortach i staniczku - a na plac zbiegają z ganku pełni ochów i achów nobliwi profesorowie. Wśród nich Dyrektor Adamczewski, profesor Włodek, jego żona Lusia. Musiałem im kiedyś mocno zależeć za skórę, aby tak z dała rozpoznać mnie mogli. Oczywiście wiele godzin spędziliśmy na zwiedzaniu starych kątów, okolicy, na wspominkach i opowieściach.

Zrobiliśmy też mnóstwo fotek naszą Zorką - niestety, większość z nich przepadła podczas moich licznych przeprowadzek. Dwa dni potem nawiedziliśmy w pobliskim Międzyborzu "Zajaca" tj. Jasia Piędziocha. Ten zasłużony przydomek zdobył on nie tylko za nieco wystające przednie siekacze, ale i dlatego, że gdy wdarliśmy się wreszcie na ruchome wydmy w Sławińskim Parku Narodowym podczas wycieczki maturalnej, on pierwszy raz widząc morze pognął ku niemu wrzeszcząc, wymachując nogami i rękami, niczym uciekający przed wilkiem zając w radzieckiej kreskówce. "Zajac" wzenił się w ogrodniczą rodzinę, ukończył jakąś rolniczą dwulatkę i prowadził

biznes z teściami. Mieszkał przy rodzinie żony i spodziewali się dziecka. Nie powiem, powspominaliśmy mnogo i popiliśmy tego, a kaca przez kilka dni leczyliśmy teściowymi pomidorami. Po solidnym wypoczynku ruszyliśmy do Sycowa - 24 czerwca, na imieniny Jasia Zysnarskiego. Oczywiście, nasza wizyta miała być prezentem- niespodzianką. Z rzadkiej korespondencji z Jasiem wiedziałem, że pracuje tam jako adiunkt. Zaskoczenie było obustronne - bo nasz Jaśko w międzyczasie się ożenił, o czym nie raczył mnie powiadomić, do dzisiaj za bardzo nie wiem i nie rozumiem dlaczego. Po kilku dniach nasz urlop zaczął dobiegać końca i przez technikum leśne w Miliczu, gdzie spędziłem dwa pierwsze lata szkoły średniej, wróciliśmy do domu.

I znów minęło kilka lat, kończyłem zaoczne studia, urodził mi się syn, posadziłem wiele drzew, rozpadła mi się rodzina, miałem luz i postanowiłem się odstresować.

Wziąłem, więc, miesiąc urlopu, odpaliłem motocykl i w Dzień Dziecka ruszyłem w Polskę. Pierwszy etap, Moja Wola - niestety, z przykrością dowiedziałem się, że Technikum Leśne uległo likwidacji. W Międzyborzu, u Piędziochów, bez istotniejszych zmian. Przez pusty, już bez Jaśka, Syców pojechałem do Kępna, gdzie w pobliskim tartaku odnalazłem Antka Majchrzaka, kolegę z klasy którego, wbrew pozorom, bardzo lubiłem lecz, tu mój błąd, nie doceniałem. Antoni okazał się poważnym kierownikiem, poznał mnie od razu, zaprosił do domu, pogadaliśmy, pooglądaliśmy zdjęcia i .. pogonił mi kota.

Powiadomił mnie uprzejmie, że spodziewa się wizyty swojej sympatii, a znając mnie wolałby, abym w tym czasie był co najmniej sto kilometrów dalej. Nie powiem - nabrałem dla chłopaka szacunku. Antek był naszym klasowym fotografem, zdjęć było, więc, sporo tak, że i pora naszego rozstania była dosyć późna. Liczyłem wprowadzić na nocleg, ale cóż, uśmiech na gębę, kask na głowę i w drogę. W Oleśnicy podjechałem na stację benzynową, a tu karteczka przy kasie, agent Zdzisław Wierzchowski. Tak mnie zatkało, że bardzo długą chwilę nie mogłem znaleźć portfela z pieniędzmi i zaniepokojeni pracownicy otoczyli mnie dokoła. Na szczęście sprawa szybko się wyjaśniła i po pół godzinie trzymałem w ramionach podtuczonego Bynia, jego piękną małżonkę i urocze dzieciaki. Było o czym gadać do rana. Teść Bynia miał fabryczkę syfonów wyjechałem, więc, od niego nie tylko zatankowany do pełna benzyną. Przez Wrocław pognałem do Prochowic, gdzie mój kumpel i przyjaciel, Jaśko Zysnarski, mieszkał i pracował jako zastępca nadleśniczego. A tu znowu niespodzianka - "Żararaki"

spłodził syna. I być może oberwał by niezłego kuksańca gdyby nie fakt, że na wieczną pamiątkę naszej przyjaźni dał mu moje imię - Marek. W nocy pojechaliśmy na ruską poligon - na dziki. Był upalny czerwiec i plaga komarów. Zamiast dzika padł zając i nasza przyjaźń też prawie upadła. Od tych por nie cierpię polowań, z rezerwą odnoszę się do myśliwych, choć sam mam do czynienia z bronią na co dzień. Wyjechałem nazajutrz, bladym świtem. Mimo wszystko przetrwaliśmy trudne lata. Nie raz spotykaliśmy się potem u niego w Krościenku, woziłem tam na odpoczynek większość moich kobiet, popijałem nie tylko pieniawy, piekłem barany, włóczyłem się po Pieninach zimą i latem, spływałem Dunajcem z góralami, zdrowiała tam nieraz moja pokaleczona dusza, aż żal, że mieszkaliśmy od siebie tak daleko.

Pięć latek temu Jaśko odwiedził mnie na Mazurach, w moim Przedpieklu. Mam tu starą chałupę, kilka koni, psów i baranów, ogród, staw z rybami i trochę ziemi. Za jego bytności było jeszcze trochę kóz i mnóstwo różnego drobiu. Mieszkam na ścianie lasu, przy rozległych łąkach, kilometr od wsi i dwa od Jezioraka. Za jeziorem, w Suszu, na leśnictwie Michałowo siedzi mój klasowy kolega - Zenek Latos z rodziną, z którym także przez te poszkolne lata utrzymywaliśmy w miarę stabilne kontakty. I udało nam się spotkać we trójkę. Jaśko był tydzień i od tamtych por nie mamy osobistego kontaktu, ale dzwonimy, wysyłamy kartki, e-maile, smsy. Na zlocie w Mojej Woli w ubiegłym roku bardzo chciał być, ale zawodowe obowiązki zatrzymały go w Norwegii.

Wracając do mojej podróży, z Prochowic, przez Zieloną Górę pojechałem do Rogozińca, do Technikum Leśnego gdzie wówczas mieszkała i pracowała wychowawczyni naszej klasy z Mojej Woli, nasza polonistka, historyczka, szefowa wszelkiej działalności kulturalnej, humanistycznej, humanitarnej, nasza opiekunka, przyjaciel, matka i siostra zarazem, najwspanialsza ze znanych mi osobowości - profesor Elżbieta Staw, zwana po prostu "Stawką". To miało być nasze pierwsze spotkanie po maturze, choć muszę zaznaczyć, że korespondencję prowadziliśmy raczej obszerną i w miarę regularną. O "Stawce" mógłbym napisać wielostronicowy esej i być może kiedyś, już na emeryturze, go popelnię.

Na dzisiaj ważne jest, że to ona sprawiła, iż jestem tym kim jestem, że to ona z bałuckiego bikiniarza i egocentrycznego młodzika ukształtowała młodego mężczyznę mierzącego zamiary na siły i siły na zamiary.

Ale wówczas jechałem do niej, jak zwykle, po radę i pomoc, i po szczęście spotkania i przebywania w towarzystwie osoby, która dała mi tak wiele, niczego w zamian nie żądając i nie oczekując. Jechałem w słońcu przez pola pełne zapachu miodu i przez las przesyciony żywicą, i dojechałem - i znów było jak w Mojej Woli; wspólne dyskusje, moje zeszyty, stare wypracowania, referaty, młodzieńcze wiersze, listy, rysunki, kasety, fotografie, dziwne drobne pamiątki i pamiąteczki. Otwierałem w zadziwieniu oczy gdy, co rusz, wyciągała jakieś pudła i paczki i w rozsypywanej beładnie zawartości wyszukiwała jakiś gadżet z mojawolskich czasów, wspominkom nie było końca. Jak żal, że to tylko kilka dni, które minęły jak chwilka, że nie ma jej już wśród nas, że nie dopadnie nas jej głośny śmiech i zapach jej mocnych perfum. Bez niej mojawolska epopeja nie byłaby pełna, bez niej nie było by ludzi zdolnych do napisania tego wszystkiego co o Technikum Leśnym w Mojej Woli zostało napisane, nie było by ludzi zdolnych doprowadzić do wydania naszych wspomnień i historii szkoły.

Jakieś 15 km ode mnie, w leśniczówce Bagińsko, mieszka mój znajomy leśniczy - Leszek Chmielewski, także pasjonat koni i życia w zgodzie z naturą. Przy naszym pierwszym spotkaniu, kiedy dowiedział się, że i ja z zawodu jestem leśnikiem i gdzie kończyłem szkołę, od razu powiedział, i kończyłem Technikum Leśne w 1978 w Rogozińcu, uczyła mnie tam profesorka Elżbieta Staw z Mojej Woli, to była najwspanialsza nauczycielka jaką znam, zaraziła mnie humanistyką, i wielu moich kolegów także, brałem czynny udział w jej pracy w kółkach literackim i recytatorskim, to jej zawdzięczam miłość do kultury i sztuki, do literatury i poezji, teatru, muzyki.

Z Rogozińca udałem się do mojego ukochanego Pobierowa, nad morze. I wyobraźcie sobie ludzie, co mnie tam spotyka, poza oczywiście słoneczną i morską kąpielą, poza smażonymi flądrami i ożywym tchnieniem morskiej bryzy. Otóż poznawszy piękną i seksowną letniczkę udałem się w jej towarzystwie na wydmę w celach, krótko mówiąc, romantycznych. Gdy pełen oczekiwań i nadziei usypywałem wały z piasku

i podziwiałem jej negliż z pobliskich chaszczy rozległ się głos ;"..płaci Pan 50 złotych mandatu za zabronione prawem chodzenie po wydmach..". Patrzę i własnym oczom nie wierzę - głos jakby znajomy, gębula też, tylko ten mundur jakiś dziwny. Mój bywszy kumpel z klasy, mój moralny opiekun na wakacyjnych praktykach i szkolnych wycieczkach, moja udręka i ekstaza od pisanych mu wypracowań, a mimo to wspaniały kolega, złote serce i dobrotliwa dusza, "Szczena" czyli Wiesiek Świąćicki w mundurze SUM-u. Takie

to było spotkanie po latach, uściskał, ugościł, umoralnił, powspominaliśmy szkolne dzieje, przyrzekliśmy sobie nie tracić kontaktu - ale 50 złotych mandatu skasował ze mnie i tak... Wiele lat później idę sobie po kieleckim deptaku i nagle ktoś woła mnie po imieniu - głos znajomy, gębula też. Okazało się, że Wiesiek pracuje teraz w Straży Leśnej, że mieszka z żoną i dziećmi w Zagnańsku pod polskim tysiącletnim Bartkiem. Ja wówczas dyrektorowałem z drugiej strony Kielc, w Jędrzejowie. Odległości niewielkie, więc przewidując zaopatrzonej we flaszkę i bilet powrotny którejś soboty wybrałem się w odwiedziny. W Zagnańsku zamiast stacji kolejowej słup z nazwą i skład drewna, dookoła górk i świętokrzyskie lasy, zero pasażerów. Powędrowałem na tzw. czuja i trafiłem do kadrowego domku przy Technikum Drzewnym gdzie żona Wieska była nauczycielką. Wysączyliśmy wiele ćwiartek domowej nalewki, przegadaliśmy dwa dni i dwie noce, wybawiliśmy się żołnierzykami jego chłopaków. Oczywiście żony nie było - wyjechała na dwa dni do siostry, ale jakież było moje zaskoczenie gdy na godzinę przed moim wyjazdem okazało się, że jest to siostrzenica naszej profesorki "Stawki". Widywaliśmy się z Wieśkiem jeszcze raz czy dwa, ale przyszły burzliwe lata 80-dziesiąte, ja wyjechałem z Jędrzejowa, on też gdzieś w Polskę, i nasze drogi znów się rozeszły. I czekam czy znów nie rozlegnie się nagle znajomy głos, czy nie pokaże się znajoma gębula....

Z Pobierowa pojechałem ciupasem do Susza, do Zenka Latosa skąd podkarmiony przez jego mamę jajcami na boczek i domowym twarogiem, tudzież wymyty, oprany i wyspany pognałem do domu, do ciasnego i pustego mieszkanka, by zappełnić je nowymi przeżyciami, fotkami i wspomnieniami.

O Zenku Latosie muszę powiedzieć, że wiele mu zawdzięczam. W czasach milickich mieszkaliśmy dłuższy czas w jednym pokoju i często krył mnie przed nauczycielami, gdy bez przepustki biegałem na wieczorne randki. Po maturze spotkaliśmy się kilkakrotnie u niego w Michałowie i tak się zaraziłem miłością do Jeziorańskiego Parku Krajobrazowego, że postanowiłem sobie osiąść gdzieś tutaj na starość - co zresztą uczyniłem. Nie znaczy to wcale, że czuję się stary, bo na konia jeszcze z ziemi wsiadę, siekierę i szpadeł w ręku utrzymam, no i żonkę też jeszcze obłapić potrafię. Muszę jednakże podkreślić, że na tę decyzję miała również znaczący wpływ lektura książek Zbigniewa Nienackiego, który "moje" rejony mazurskiej krainy przepięknie opisał w swoich książkach.

Zenek odwiedził ze mną wiele nieruchomości w czasie poszukiwań siedliska na moje obecne ranczo i dzięki jego pomocy i radom znalazłem miejsce,

które spełniało prawie wszystkie moje oczekiwania.

Mieszkamy teraz od siebie o rzut kamieniem - w linii prostej to tylko kilka kilometrów - ale, aby się spotkać trzeba przejechać 35 km drogą dookoła j. Jeziorak, które nas rozdziela. Niemniej widujemy się od czasu do czasu u niego lub u mnie. Spotykamy się też z naszym kolegą z klasy - Alkiem Orłowskim, który corocznie stara się zawitać w nasze strony, choć leśniczuje hen daleko, w sudeckich górach.

Na ubiegłorocznym zlocie absolwentów Technikum Leśnego w Mojej Woli spotkałem też innych kolegów z mojej klasy - siedzieliśmy przy stole razem ; ja, Zenek Latos, Alek Orłowski, Antek Majchrzak, Maciek Kucharski, Andrzej Zieleziński, Mirek Zembaty, Zdzichu Laskowski, Czesiek Bojarczuk, spotkałem też kolegów z równoległej klasy maturalnej. Aż szkoda, że to tylko jeden dzień, lecz choć jeden, to niechybnie wystarczy, by utrzymać kontakty na przyszłość.

Wracając do Mojej Woli - opisane wyżej moje tam wizyty nie były jedyne bo choć mieszkałem daleko nigdy nie przepuściłem okazji, będąc w pobliżu, by nie odwiedzić starych szkolnych kątów. Wielokrotnie, w czasie 35-ciu lat, i zawsze ze smutkiem, patrzyłem na coraz bardziej zniszczony zamek, na usychające drzewa, na zarośnięte ścieżki i alejki, na nowych, nieznanych mi mieszkańców przyszkolnych budynków. Spacerując po okolicy myślałem o tym, jak to leśnikiem być chciałem i oraz o nieubłaganym upływie czasu, który zaciera w naszej pamięci tyle zdarzeń -- dopadała mnie wtedy nostalgia, a pobudzony otoczeniem umysł generował wspomnienia, wspomnienia.....

Wspomnienia Marka Jaszczyńskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 19 listopada 2010 15:04 - Poprawiony niedziela, 26 czerwca 2011 00:24

Napisał Marek Jaszczyński.

Przedpiekle . listopad 2007 roku.